

BOHDAN MARCONI (Warszawa)

ZASTOSOWANIE PROMIENI ROENTGENA PRZY KONSERWACJI OBRAZU

*«Madonna z Dzieciątkiem i fundatorem bisk. Lubrańskim»
ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.*

W styczniu 1935 r., w związku z projektowaną wystawą Polskiej Sztuki Gotyckiej w salach I. P. S., została poruszona w dyrekcji Muzeum Narodowego w Warszawie sprawa usunięcia przemalowań na obrazie pochodzącym z pierwszej ćwierci w. XVI, przedstawiającym Madonnę z Dzieciątkiem i fundatorem biskupem Lubrańskim (Nr. inw. 42505, wym. 200×80 cm.).

Obraz ten, malowany temperą na podkładzie kredowym, na desce lipowej, był całkowicie przemalowany olejno w w. XVII, z wyjątkiem głowy fundatora, złotych części szat i trzewika Madonny (fot. nr. 1).

Nabyty został w r. 1922. Od chwili tej był raz jeden konserwowany w r. 1925 przez prof. Jana Rutkowskiego. Prace konserwatorskie polegały na zabezpieczeniu deski (parkiet) i drobnych reperacjach.

Chąc przystąpić do tak odpowiedzialnej pracy, jaką jest usuwanie przemalowań, w ogromnej większości wypadków kryjących uszkodzenia powstałe przez destrukcyjne działanie czasu, lub wadliwą restaurację, należało stwierdzić za pomocą prześwietlenia promieniami Roentgena, czy pod warstwą farby olejnej znajduje się jeszcze oryginalne malowidło i w jakim stanie.

Badania promieniami X nasuwały od początku ich stosowania zastrzeżenia co do ich możliwej szkodliwości dla barwników lub spoiw. Wątpliwości te zostały rozchwiane prawie całkowicie przez artykuł Dr. Petertil'a: »La question des détériorations des couleurs par les rayons X«, publikowany w nr. 21 Mauseion'u. Wpływu ujemnego na obrazy przy normalnem naświetlaniu, potrzebnem do zbadania na ekranie lub do zdjęć, praktycznie można nie brać pod uwagę.

Obrazy prześwietlane nie wytrzymały wprawdzie jeszcze jednej próby—próby czasu, wobec czego należy możliwie ograniczyć czas prześwietlania.

Dzięki życzliwemu stanowisku Instytutu Roentgenologicznego Uniwersytetu Warszawskiego można było w jego pracowni wykonać prześwietlenia na ekran i zdjęć omawianego obrazu w nader korzystnych warunkach.

Już pierwsze prześwietlenia na ekran wykazały w najważniejszych miejscach obrazu zmiany konturów spodniej warstwy farb.

Wobec tego, po zrobieniu próbnego zdjęcia (13×18) — dla ustalenia czasu naświetlania — wykonano trzy klisze, które dały wyniki nadspodziewanie dobre (2 zdjęcia 30×40 i jedno 24×30 cm.).



Ryc. 1 i 2. Muzeum Narodowe w Warszawie. Madonna z Dzieciątkiem i bisk. Lubrańskim.

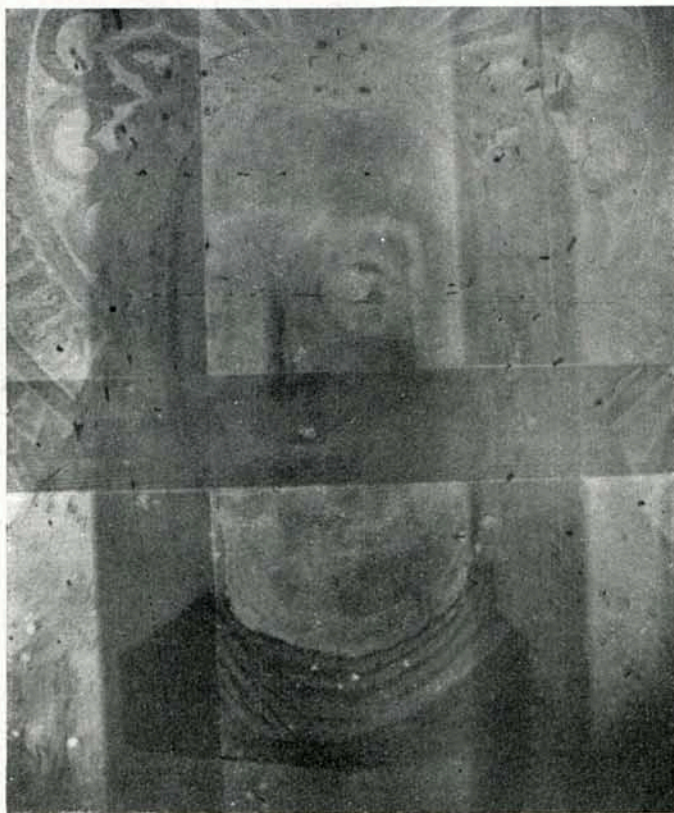
Przed restauracją.

Po restauracji.

Zdjęcie pierwsze (ryc. nr. 3) nasuwało, po dokładnem zbadaniu i porównaniu z obrazem, wątpliwości co do samej twarzy Madonny, natomiast zmiany rysunku szyi, szczególnie z prawej strony, szaty na piersiach i wyraźny zarys włosów pod wierzchniem uchem, dały pewne podstawy do zdejmowania przemalowań.

Zdjęcie drugie (ryc. nr. 4) dało niewątpliwe wyniki, jak odmienny układ i rysunek palców lewej dłoni Madonny i nóg Dzieciątka.

Zdjęcie trzecie (ryc. nr. 5) dało na całej kliszy jasny obraz pierwotnego malowidła: silnie zarysowany kontur ciała Dzieciątka świadczył o jego nagości; zaznaczył się inny zarys policzka, ucho widoczne na zdjęciu, umieszczone w innem miejscu niż późniejsze, wierzch-



Ryc. 3. Zdjęcie roentgenologiczne twarzy M. B. (fot. Instytut Roentgenolog. Uniw. marsz. J. Piłsudskiego)

nie, rysunkiem swym stwierdziło podobieństwo do ucha fundatora, nietkniętego przemalowaniem; dłoń prawa Madonny ukazała się w innym układzie palców, szczególnie palec wielki był umieszczony prawie pionowo, a w dłoni przemalowanej – prawie poziomo.

Wszystkie zdjęcia wykazały obecność wielkiej ilości gwoździ, tkwiących w desce obrazu i zaznaczyły listwy parkietu w postaci szerokich ciemnych pasów, tworzących kratę.

Mając tak niezbite dowody istnienia pod warstwą przemalowań dawnej farby o konturach ciągłych, świadczących o dobrym jej zachowaniu, przystąpiłem do usuwania warstwy olejnej, zmniejszając ją rozpuszczalnikami nie działającymi na temperę i usuwając przeważnie mechanicznie.

Dla upewnienia się, czy stan dawnego malowidła usprawiedliwia zniszczenie dobrze zachowanej warstwy olejnej z w. XVII, zacząłem pracę jednocześnie w kilku miejscach, zdejmując przemalowanie na małych przestrzeniach obrazu.

Jeden z pierwszych etapów pracy ilustruje ryc. nr. 6, na której



Ryc. 4. Zdjęcie roentgenologiczne nóg Dzieciątka (fot. Instytut Roentgenolog. Uniw. marsz. J. Piłsudskiego).

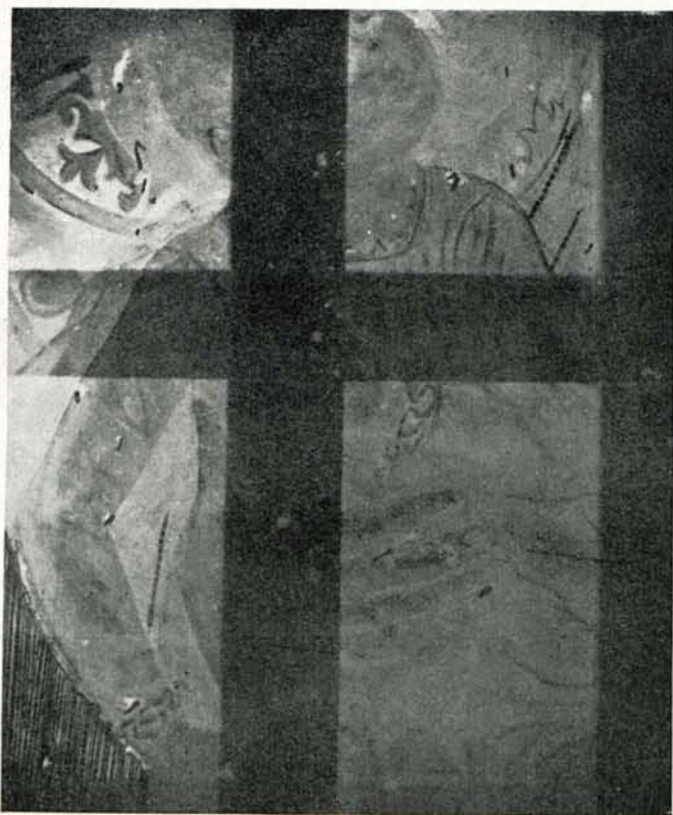
widać w miejscach oczyszczonych doskonale zachowaną część twarzy, ucho, włosy i ramię Dzieciątka, oraz część dłoni prawej Madonny z muślinem malowanym drobnymi pociągnięciami pendzla.

Dalsza praca prowadzona była przy ciąglem porównywaniu zdjęć roentgenowskich z obrazem.

Spód złotej szaty Madonny w kolorze brudno – czerwono – fioletowym okazał się jasnym, mieniącym, zielono – różowym. Szata błękitna o fałdach pełnych, barokowych, była już drugim przemalowaniem, a po usunięciu obu warstw ukazała się oryginalna szata o pięknym, ciemno błękitnym kolorze, w układzie fałd o ostrych, gotyckich załamaniach, obramowana futrem i stanik aksamitny ciemno wiśniowy, obrzeżony blado zielonkawą wypustką (ryc. 1 i 2)

Zapoznawszy się dokładnie z powierzchnią farby olejnej, mogłem, posługując się lupą, stwierdzić, że dół obrazu, tworzący tło ciemno zielone, był domalowany, a po usunięciu przemalowania ukazała się posadzka kamienna. Pastorale pod warstwą białą okazał się czerwony. Herb z prawej strony u dołu, również z w. XVII, pozostawiono ze względów ikonograficznych.

Złote części szat były w epoce przemalowywania prawdopodobnie dla stonowania z całością przelaserowane na brązowo.



Ryc. 5. Zdjęcie roentgenologiczne Dzieciątka. (fot. Instytut Roentgenologiczny Uniw. marsz. J. Piłsudskiego.)

Tło złożone i wygniatane w romby uległo, jak stwierdziłem, dwukrotnym przeróbkom: pierwsza polegała na przezłoceniu na miksion bez polerowania dawnych złocień, wykonanych na podkładzie pulmentowym i polerowanych, druga na nałożeniu warstwy nowego gruntu, przy czym zniwelowano zupełnie złobienia ornamentów (ryc. nr. 6: promienie nad głową) i pozłoceniu bez pulmentu.

Sądząc ze znalezionych po obu pionowych brzegach podłogi śladów oryginalnych złocień, przeblyskujących w miejscach uszkodzeń tempery, obraz stanowił środkową część głównego obrazu tryptyku, oddzieloną od bocznych ramą tak, jak w tryptyku z Szańca. (Por. Dr. M. Walicki: Katalog Wystawy Polska Sztuka Gotycka. Warszawa IPS 1935 r. Nr. 168).

Prawdopodobnie w w. XVII, w czasie wykonywania przemalowań i nowych złocień, obraz został pozbawiony oryginalnej ramy, obcięty u góry po obu rogach, być może dla przystosowania kształtem do istniejącej ramy i poszerzony dwiema listwami pionowymi (ryc. nr. 2).

Obecnie obraz, z wyjątkiem złotego tła, które wymaga usunięcia



Ryc. 6. Fragment obrazu M. B. z Dzieciątkiem i bpem Lubrańskim w toku restauracji.

warstwy nowego gruntu ze złoceniami i odczyszczenia oryginalnego złota dość dobrze zachowanego, jest całkowicie pozbawiony przemalowań, ukazując wielką wartość artystyczną tego dzieła. Na doskonale zachowanej powierzchni tempery można studjować technikę malarza, — niemal każde pociągnięcie pędzla.

Niestety pierwotna twarz Madonny nie istnieje. Prawdopodobnie z powodu zniszczenia została w w. XVII całkowicie usunięta. To, co było niezrozumiałe na zdjęciu roentgenowskim, stało się jasne przy usuwaniu przemalowań.

Mogłem stwierdzić, że warstwa dawnej farby temperowej i gruntu urywa się dokładnie w miejscu konturu, obiegającego twarz i szyję Madonny na zdjęciu roentgenowskim (ryc. nr. 3). Dalej w kierunku do środka twarzy jest już nowszy grunt o zupełnie innej siatce pęknięć (*craquelures*), podmalowany szaro-niebiesko i warstwa farby olejnej z w. XVII.

Dla upewnienia się, czy nie są to częściowe reperacje, przecinałem twarz Madonny w kilku miejscach, robiąc oczywiście bardzo małe cięcia — i wierciłem wgląd aż do deski. Nigdzie jednak nie napotkałem ani tempery, ani gruntu dawnego.

Z obu stron głowy odnalazłem natomiast zarysy pierwotnych uszu Madonny, których umieszczenie dowodzi, że oś twarzy była nachylona.

Nie pozostawało nic innego, jak zachować twarz Madonny, namalowaną w w. XVII, przelaserowując część szyi tak, by złączyć i zharmonizować ją z całością.

I to jest rozwiązanie najlepsze, choć wielu razi ciemniejsza, inna w rysunku, wyrazie i kolorystyce twarz Madonny.

W referacie moim o konserwacji omawianego dzieła, wygłoszonym w salach I. P. S. w końcu kwietnia 1935 r., przedstawiłem projekt innego rozwiązania tej trudnej sprawy: wykonanie na blasze dokładnie dopasowanej do konturów brakującej dawnej twarzy, twarzy Madonny opartej na współczesnych wzorach i przymocowanie jej tak, by zasłoniła malowidło z w. XVII. Propozycja moja i przedstawiony szkic głowy Madonny wywołały ożywioną dyskusję.

Ze swej strony pragnę zaznaczyć, że z punktu widzenia racjonalnej konserwacji, postawionej na poziomie muzealnym, wobec braku choćby części pierwotnej twarzy, rozwiązaniem słusznym jest jedynie to, które zostało wykonane, — pozostawienie twarzy Madonny z w. XVII.

Całą pracę nad usuwaniem przemalowań, trwającą około trzech miesięcy, można było wykonać bez żadnego ryzyka dla tego wybitnego dzieła jedynie dzięki nadspodziewanym rezultatom badań promieniami Roentgena.

HENRYK JASIEŃSKI (KRAKÓW)

W SPRAWIE GENEZY UKŁADU DAWNEJ KAMIENICY MIESZCZAŃSKIEJ.

(W nawiązaniu do uwag inż. arch. R. Piotrowskiego
w zeszlórocznym wrześniowym zeszycie „Biuletynu”).

W zeszlórocznym wrześniowym zeszycie „Biuletynu” ukazała się recenzja mojej pracy o układzie rzutu dawnej kamienicy krakowskiej przez arch. Piotrowskiego. Po przeczytaniu tej recenzji widzę konieczność dania pewnych dodatkowych wyjaśnień.

Pozatem, przy jej czytaniu narzuciły mi się pewne uwagi natury metodologicznej, bardzo nadające się do wypowiedzenia przy nadarzonej sposobności. Narzuciła mi się konieczność powiedzenia czegoś zdecydowanego, a niezależnego od chwilowej mody o stosunku wiadomości historycznych do praktyki architektonicznej, o konieczności normalnej analizy technicznej budowli zabytkowych i rozważania ich porównawczo „na jednej płaszczyźnie” z dzisiejszemi, o tak charakterystycznym dla ostatnich kilku lat kompleksie obawy przed „swojszczyzną” i „archaizowaniem” i o wynikających z tej obawy na wpółświadomych zafałszowaniach ocen i wniosków, o uporczywym powtarzaniu „na domysł” niektórych twierdzeń całkowicie mylnych, a tak przecież łatwych do sprostowania na bliskim i dostępnym materiale etc. etc.

To wszystko pragnę tu omówić w narzucającej się formie dyskusyjnej, a nawet przeważnie wyraźnie polemicznej, gdyż niewątpliwie przecież i tutaj, i już poprzednio w samej przez arch. Piotrowskiego omówionej pracy prowadzę polemikę przeciw niezrozumiałemu dla mnie i oburzającemu mnie prawie całkowitemu pomijaniu tematu niewątpliwie ważnego, a dla mnie osobiście przede wszystkim najciekawszego i najpiękniejszego.

Arch. Piotrowski nie weźmie mi napewno za złe, że użyję przytem jego recenzji jako substratu do moich rozważań (uzupełnianego wciąż zresztą wspomnieniami wielu innych ocen i wypowiedzeń), nie siląc się przytem na zacieranie „akcentów osobistych”, które byłoby sztuczne i odbarwiłoby moje wywody, w niczem się nie przyczyniając do lepszego uwydatnienia wszystkiego tego, o co mi tutaj chodzi.

Powiem więc odrazu, że recenzja arch. Piotrowskiego to nie jest taki odzew, jakiegobym sobie życzył i jakiego mógłbym się spodziewać choćby tylko za samo opublikowanie po raz pierwszy obfitego materiału pomiarowego, który sam autor recenzji uznaje za „poważny”.

Mojego recenzenta omawiana przez niego książka najwyraźniej niecierpliwi. Niecierpliwi go niedopuszczalnym wedle niego użyciem materiału „historycznego” do wyciągania wniosków praktycznych o znaczeniu ogólnem i beczasowem. Wydaje mu się to przemyca niem nielegalnego towaru pod wzbudzającą zaufanie marką i niemal jakimś wciąganiem w zasadzkę.

Taki stosunek recenzenta do omawianej książki nie jest, zdaje

mi się, jego indywidualną własnością. Jest to raczej oddźwięk szeroko rozpowszechnionych poglądów na rolę „teorii” i „praktyki” i na ich rzekomą przeciwstawność. Uważam, że na tych poglądach nie zyskuje ani teoria, czy też historia, stająca się bezbarwnym i często naiwnym opisywaniem od zewnątrz procesów, których wewnętrzna istota jest dla opisujących niezrozumiała, ani też praktyka, która staje się błędnym macaniem naoslep, albo też mozolnym odkrywaniem na nowo dawno odkrytych Ameryk, z czym właśnie mamy do czynienia choćby w Szwecji, a także w Krakowie przy stosowaniu górnego oświetlenia klatek schodowych i większych głębokości rzutów¹⁾.

Dlatego też uważam, że zwalenie tej przegrody, poddanie „historycznego” materiału normalnej analizie technicznej nie jest z mojej strony żadnym bałamuctwem ani pomieszaniem pojęć, ale zupełnie usprawiedliwionym a nawet koniecznym sposobem pożytecznego opracowania podobnego tematu.

Druga jeszcze dobrze widoczna sugestia ciąży nad rodzajem sądów p. Piotrowskiego. Jest to powszechna dziś chorobliwa obawa przed posadzeniem o „romantyzm”, rozumiała może jako reakcja przeciw zewnętrzniemu historycyzmowi i powierzchownie „narodowemu” ujmowaniu architektury, ale jednakowo jednostronna i tak samo uniemożliwiająca naprawdę obiektywną ocenę dawnych rozwiązań, zwłaszcza gdy te rozwiązania, jak u mnie, są przedstawiane poniekąd jako wzory czy też punkty wyjścia dla dalszej ewolucji.

Ponieważ sam odnosiłem się zawsze krytycznie do wszelkich „pękających filarków”, więc nie czuję potrzeby „odkupywania win” umyślnym udawaniem lekceważenia tego, co w autentycznym budownictwie starem, a choćby i ludowym wydaje mi się plastycznie, konstrukcyjnie, czy też użytkowo dobrem i aktualnym. Przyznawałem się też bez żadnego zakłopotania w mojej książce i przyznaję w dalszym ciągu, że wewnętrzna anatomia starej kamienicy mieszczańskiej ogromnie mi się podoba, że widzę w niej wiele zadań rozwiązanych i na dzisiejsze potrzeby znakomicie i zewszęch miar nadających się do zaktualizowania.

Gdyby mi się zresztą dawna kamienica nie podobała, to pocóż bym się nią wogóle zajmował? Takich rzeczy nie robi się z jakichś zewnętrznych i przypadkowych przyczyn. Rzecz oczywista, że tylko „romantyczny urok”, jaki na mnie wywiera stara kamienica mieszczańska, na tle ogólnego zainteresowania tak samo starem, jak i nowym budownictwem mieszkaniowym, skłonił mnie najpierw do szukania wiadomości o niej w literaturze, następnie do zbierania na własną rękę nieznajdowanego w literaturze materiału, którego część użytkowałem do zilustrowania obecnej mojej książki, a wreszcie do napisania i ogłoszenia tego, co mi się narzucało jako ważne i oczywiste, a czego nigdzie nie mogłem znaleźć.

Taka geneza mojej książki, powstanie jej na tle zniecierpliwionego poszukiwania nieistniejącej literatury, tłómaczy jej miejscami agresywny ton, a także położenie specjalnego nacisku na zagadnienia wedle mnie szczególnie ważne, a w literaturze najpobieżniej zbywane, albo i całkowicie pomijane, a więc najwidoczniej poprostu zupełnie niedostrzegane.

W każdym razie jednak nie mogę przyznać racji twierdzeniu p. Piotrowskiego, że moja książka jest studjum wyłącznie o sieniach i schodach dawnej kamienicy. Pomimo miejsca, jakie rzeczywiście zajmuje w niej omówienie sieni i schodów, jest to jednak, zgodnie z tytułem, studjum o układzie i wnętrzu dawnej kamienicy, a nawet więcej jeszcze, bo także studjum o układzie zbiorowiska kamienic, jakim jest blok między czterema ulicami, o sposobie jego parcelacji, systemie zabudowania parcel i wzajemnej zależności sąsiadujących ze sobą kamienic (sprawa wspólnoty podwórz i t. p.).

Dlatego nie mogę też przyznać, żeby istniała jakaś luka pomiędzy podanym przeze mnie „materjałem dowodowym“, a końcowymi wnioskami. Lukę widzę tylko w recenzji p. Piotrowskiego, który znaczną i bardzo istotną część moich wywodów, poświęconych całości bloku, wspólnym podwórzom i warunkom oświetlenia izb mieszkalnych, pomija zupełnie milczeniem, aby na koniec zbić, czy raczej tylko zbyć moje wnioski powierzchownymi ogólnikami, które muszą szczególnie mnie drażnić, bo nato przecież przeprowadzałem szczegółową analizę zależności między różnymi wymiarami rozstępów, głębokości i wysokości, nato jej wyniki przedstawiałem w sposób możliwie dostępny i przejrzysty, żeby mówienie o tych rzeczach w ogólnikach stało się odtąd... niedopuszczalnym.

Zajmę się teraz niektórymi poszczególnymi zarzutami p. Piotrowskiego częściowo w tym celu, żeby z nim podyskutować, a częściowo także, żeby mu udzielić dodatkowych wyjaśnień w sprawach wedle niego niedostatecznie u mnie wyjaśnionych.

Zaraz na wstępie napotykam zarzut, że w mojej książce „brak... związania obiektów już nie tylko z datami, ale nawet z określoną epoką“.

Przyznając p. Piotrowskiemu, że moja książka „nie jest studjum historycznym“, a przynajmniej, że jest niem tylko częściowo, i to w części dla mnie osobiście może nienajważniejszej, nie rozumiem jednak uczynionego mi zarzutu. Prawda bowiem, że omawiane przeze mnie domy grupuję „raczej terytorjalnie wedle ich rozmieszczenia“, ale też przynależność do określonego terytorjum (śródmieście Krakowa) jest tu zarazem przynależnością chronologiczną. Wszystkie omawiane przeze mnie „typowe“ domy na tem terytorjum zostały pobudowane pomiędzy końcem XIV a początkiem XVI wieku, wszystkie uległy przebudowie wewnętrznej z początkiem XVII wieku i przynajmniej częściowo wówczas dopiero, po zamienieniu na izby mieszkalne „górných sieni z oknami w ulicę“ i nadbudowaniu nad schodami latarni dachowych, otrzymały jednolicie typowy dziś dla nich charakterystycznie „trzytraktowy“ układ rzutu.

Jako „praktyk“ mógłbym powiedzieć, że skoro ten układ jest dobry i celowy, niewiele mnie obchodzi epoka i sposób jego powstania. Tak jednak nie jest. Jestem, okazuje się, na tyle „historykiem“, że nie miałem spokoju, dopóki nie zdołałem ustalić sobie na własny swój użytek dat budowy i przebudowy, a więc związać rozmaitych zabytków i kolejnych faz ich ewolucji z określonymi epokami, a nawet całkiem ściśle określonymi datami.

W mojej książeczce, nie licząc wielu rozproszonych wzmianek chronologicznych, rozpisuję się o tem wcale obszernie i wyczerpu-

jako na str. 50–74, zużytkowując wiadome mi dokładnie daty (np. przeróbka kamienicy Siebeneicherowskiej), nie tając luk we wcześniejszym „materiale dowodowym“, powołując się na analogie z innymi miastami i krajami, rozważając i częściowo korygując opinie kilku autorów (Chmiel, Tomkowicz, Bąkowski) i dając *summa summarum* wcale zupełny „chronologiczny obraz“ losów krakowskiej kamienicy od jej powstania aż do dzisiejszych czasów. Jeśli chodzi o losy poszczególnych kamienic, to kopalnię dat można znaleźć w monograficznych tomikach ś.p. A. Chmiela, a w ostatnich kilku tomikach także moje zdjęcia pomiarowe i drobiazgowy analizy wszelakich przeróbek i nadbudów ze ścisłymi datami, okolicznościami i nazwiskami. Rzecz oczywista, że w szkicu syntetycznym przytoczyłem z tego tyle tylko, ile wydawało mi się konieczne do objaśnienia jakości przeróbek i umiejscowienia ich w czasie. Okazuje się jednak, że to nie wystarcza i że bardzo do siebie podobne przykłady należało cytować tuzinami, aby zyskały moc przekonującą.

Drugi zarzut p. Piotrowskiego uderza już wprost w koncepcję programową mojej pracy. P. Piotrowski twierdzi mianowicie, że przeprowadzanie jakichkolwiek analogii między dzisiejszym i dawnym domem jednorodzinnym a domem zbiorowym mija się zupełnie z celem i prowadzić musi do najbardziej fałszywych wniosków.

Czy doprawdy „jakichkolwiek analogii“?

Z najzupełniejszą pewnością – nie. „Element“ dzisiejszego domu zbiorowego wywodzi się z „czynszówki“ XIX wieku, a ta znów z dawniejszej „prywatnej“ kamienicy mieszczańskiej. Łańcuch genetyczny jest tu nieprzerwany, i zapominać o tem nie można przy ocenie tak całości, jak i poszczególnych elementów kompozycji.

Specjalnie jeśli chodzi o domy mieszczańskie krakowskiego śródmieścia, to domy te zostały zbudowane w ciągu XV wieku prawdopodobnie czy tylko przeważnie jako domy mniejszej jednorodzinnej, mieszczące warsztat właściciela, mieszkanie jego rodziny i mieszkania czeladzi. Ale w tej formie, jak mówi p. Piotrowski, „nieskażonej“ przetrwały najwyżej sto albo sto kilkanaście lat. Pod koniec XVI wieku widzimy już w nich lokatorów, zajmujących poszczególne piętra, albo nawet tylko ich części, a w samym początku XVII wieku ten podział na części powoduje zasadnicze adaptacje, nadające dopiero domom dzisiejszy ich charakter. Od tego czasu aż podziśdzień, a więc od 300 lat z górą domy te są *czynszówkami* i wolno je nam rozpatrywać jako takie, przy uwzględnieniu późniejszych adaptacji jako czegoś tak samo *znamiennego i pouczającego*, jak założenie pierwotne.

P. Piotrowski mówiąc o „mylnych wnioskach“, jakie rzekomo wynikać muszą z porównania domów jednorodzinnych ze zbiorowymi, ma na myśli przede wszystkim wnioski dotyczące sieni i schodów, których rola jest wedle niego zasadniczo różna w obu rodzajach budowy. P. Piotrowski posuwa się do twierdzenia, że pomiędzy sienią i klatką schodową w domu jednorodzinnym a temi samymi elementami rzutu w domu czynszowym czy zbiorowym istnieje podobieństwo jedynie tylko „formalne“. Twierdzenie takie wydaje mi się polemiczną przesadą, gdyż jednak w obu rodzajach budyn-

ków te przestrzenie spełniają jednakową funkcję komunikacyjną, a mianowicie wprowadzają ruch do domu i rozprowadzają go po wszystkich jego piętach. Conajwyżej można przyznać sieni w domu „prywatnym” (a także w gmachu publicznym) pewne „funkcje” dodatkowe. Przez sień domu czynszowego tylko przechodzimy; w sieni gmachu publicznego także nieraz przebywamy, np. czekając na swoją kolej albo czytając ogłoszenia za kratkami. Wreszcie w sieni domu jednorodzinnego zatrzymujemy się na chwilę, żeby powiesić na szaragach płaszcz i kapelusz. Sień domu jednorodzinnego spełnia więc funkcję analogiczną do przedpokoju w mieszkaniu domu zbiorowego. Niekiedy też funkcje nawpółmieszkalne angielskiego „hallu”. Stąd jej większe stosunkowo wymiary i uposażenie bardziej „intymne”, zbyt duże dla przechodniej tylko sieni domu zbiorowego, i o to, zdaje się, chodzi p. Piotrowskiemu.

Ale i ja o tem ani na chwilę nie zapominam i jeśli dość ujemnie oceniam dzisiejsze czy wogóle nowsze rozwiązania sieni w porównaniu ze „staremi” (z XVI–XVIII wieku), to jednak z punktu widzenia tych tylko funkcji zredukowanych, jakie sień ma do spełnienia w domu wielomieszkaniowym.

Jeśli więc rozwiązanie normalnej „warszawskiej” sieni przejazdowej z XIX wieku nie zadowala mnie, to dlatego, że wejście do jednego mieszkania parterowego jest w niej potraktowane tak samo, jak wejście na schody, prowadzące do siedmiu lub dzieściu mieszkań na piętach, tak że wchodząc do nieznanego domu po raz pierwszy, w połowie wypadków mylimy się i wchodzimy do drzwi niewłaściwych. Funkcja sieni jako przechodniego tylko węzła rozdzielczego nie jest więc plastycznie wyrażona układem i wyglądem jej wnętrza, a nawet wprost zatarta fałszywą ludzącą symetrią.

Jeśli rozwiązanie wejść wprost do klatek schodowych w powojennych domach zbiorowych oceniam jako „nieskomponowane”, to dlatego, że wejście pod podest na półpiętrze ma charakter podrzędny w stosunku do normalnych, o pełnej wysokości wejść po poszczególnych mieszkań, i że ponadto, zamknąwszy za sobą drzwi, mamy przed sobą albo ciasny i zawity zaułek, albo też przy nieobudowaniu schodów piwnicznych mało uczęszczany ciąg nadół do piwnicy, potraktowany tak samo, jak bardzo uczęszczany ciąg nagórę do ośmiu, dziesięciu albo i kilkunastu mieszkań. Mam więc chyba słuszość, jeśli poprzestawanie na tak przypadkowych rozwiązaniach uważam za dowód małej (w tym kierunku) inwencji dzisiejszych architektów, albo też małej ich naogół dbałości o to, co leży poza zewnętrzną fasadą.

W sieniach dawnych zachwyca mnie przejrzystość układu, doskonale plastyczne wyrażenie funkcji rozdziału ruchu, sprawiające, że wchodzący do sieni, choćby po raz pierwszy w życiu, odrazu niema żadnych wątpliwości, którędy dokąd się idzie.

Tę przejrzystość układu, jako „wartość niezmienną” i niezależną od epoki stylowej, radbym rzeczywiście „przeszczepić na... grunt dzisiejszy” i nie zdaje mi się, żeby w tym „romantyzmie” było cośkolwiek karygodnego.

Niesłusznie więc p. Piotrowski przypisuje mi „pomieszanie walorów i zadań” domów zbiorowych i domów jednorodzinnych.

Ze tych zadań nie mieszam, że ogromnemu urokowi, jaki na mnie niewątpliwie wywierają plastyczne wartości dawnych kamienic, nie daję się bezkrytycznie zasugerować, o tem świadczy choćby zauważona przez p. Piotrowskiego moja uwaga, że rozwiązanie dawnych sieni, choć kompozycyjnie doskonale, było jednak „bardzo rozrzutne“. P. Piotrowski gniewa się, że „napróżno szukał u mnie wyczerpującego wyjaśnienia tej sprawy“. Ależ jej „wyczerpującego wyjaśnienia“ i ja napróżno szukałem w dostępnych mi źródłach! Jeśli więc poprzestaję na stwierdzeniu faktów i wyrażeniu przypuszczeń, nie puszczając się na wyssane z palca „wyczerpujące“ wyjaśnienia, to świadczy to chyba tylko o moim krytycyzmie. A sprawy nie zbywam „mimoходом“, skoro szukam wyjaśniających analogij we Wrocławiu i południowym Tyrolu, gdzie sienie podobnych rozmiarów noszą nazwę remiz albo też bywają do dziś używane jako remizy. Sam jednak kwestionuję większe prawdopodobieństwo takiego użycia sieni krakowskiej stwierdzeniem oczywistej nieprzejazdowości bardzo wielu niekiedy właśnie największych i najokazalszych (zbyt wąski „ganek“, stopnie z poziomu ulicy i t. p.). Nie stwierdza tego dopiero p. Piotrowski „w świetle przytoczonego... przeze mnie... materiału“ wbrew jakimś moim celowym przemilczeniom. Jednak obok sieni nieprzejazdowych są równie liczne niewątpliwie przejazdowe (obie bramy naprzeciw siebie, „ganek“ szeroki, wyjeżdżone pacholki w bramie od podwórza) w kamienicach układu całkiem taksamo przepisowego i typowego. P. Piotrowski zapytuje, jaki cel mogło mieć wprowadzanie wozów na dziedziniec, i zaznacza, że aby odpowiedzieć na te pytania, trzeba by znać zasadniczy cel, któremu miała służyć kamienica. Ależ ja o tem piszę wyraźnie i wyczerpująco, rozporządzając w tym wypadku dostatecznymi świadectwami. Skoro wiemy, że w szopach w głębi parceli mieścili się browary, mydlarnie i gorzelnie, a nieraz także stajnie i wozownie, to przejazdowość wielu sieni nie może nas zadziwiać. Wogóle zresztą wygodniej jest i dziś wyładowywać wozy (choćby tylko z węglem) na własnym podwórzu, aniżeli przed domem na stosunkowo wąskiej a bardzo ruchliwej ulicy.

A zresztą przejazdowość czy nieprzejazdowość sieni niewiele się przyczynia do wyjaśnienia ogromnej przewagi szerokości ich części frontowych. Szerokość sieni ponad 5 m. daleko wykracza poza wymiary potrzebne do przepuszczenia nawet najciężej ładownych bryk, a zresztą rozszerzenie tylko części frontowej nicby się nie przyczyniło do umożliwienia przejazdu przez „ganki“ szerokości niekiedy poniżej 2 m.

Niewiele nam też przyniesie rozpatrzenie roli sieni w stosunku do składów piwnicznych, u mnie „zupełnie nawet nie zaznaczonej“. Bo też i niema o czem tak bardzo mówić i same załączone plany dają tu dostateczne wyjaśnienia. Piwnice frontowe miały przeważnie wejścia szpijami wprost z ulicy (jak dodziśnia np. w Lublinie) i służyły często jako podziemne szynkownie i garkuchnie. Piwnice pod „przechoodem“ i izbą tylną miewają zejścia z podwórza (rysunek 13, 35, 31 i inne). Z sieni do piwnicy zejść często wcale nie bywało, tam, gdzie są, zdają się mieć charakter jakby

dodatkowy (rys. 13), albo nawet bywają dodatkiem późniejszym czasem już z XIX wieku, komunikacją nową i zastępczą, daną po skasowaniu schodów i ramp z ulicy.

Doprawdy więc ilościowe rozpatrzenie „funkcji” sieni i ganku nie uzasadnia nam dostatecznie ogromnej nieraz różnicy rozmiarów obu tych elementów komunikacyjnego schematu przyziemia i, jeśli nam nie wystarcza samo stwierdzenie faktu, musimy się w każdym razie uciec do wyjaśnień mniej „racjonalnych” i „ściśle logicznych”, i niekoniecznie „wyczerpujących”, ani nawet zawsze i we wszystkim ze sobą zgodnych. A więc musimy przyjąć, że sienie zakładano właśnie takiej szerokości, bo taka szerokość odpowiadała szerokości klatek schodowych, i dawała możliwość umieszczenia obok przejścia albo przejazdu wygodnych schodów na piętra, a wobec dostatecznej zrazu obfitości miejsca nie zadawano sobie trudu komplikowania układu murów dla uzyskania większej oszczędności. Niewątpliwie zaś odegrało przytem sporą a może decydującą rolę zamiłowanie do reprezentacyjnej okazałości, objawiające się także w bogatym często przyozdobieniu sklepień tych dla każdego dostępnych, publicznych niejako i okazowych przestrzeni, skłaniające do dawania im także i wymiarów większych, niż byłyby koniecznie potrzebne ze względu na ich funkcje użytkowe, najczęściej zapewne od początku takie same, jak w każdym dzisiejszym domu czynszowym. Boć przecież charakter poniekąd mieszkalnego „hallu” mogła mieć dopiero sieni górna, ale nie dolna, stale otwarta naprzestrzał, dająca dostęp do podwórza, do szynkowni i winiarni w izbach tylnych, a niekiedy nawet wbrew porządkowi domowemu zastawiana stołami, przy których siedzieli ludzie pijący gorzałkę i zaczepiający idących sienią na schody do mieszkań na piętrach, co jednak było nadużyciem (a nie normalnem przeznaczeniem sieni) i dawało powody do skarg, z których się też o tem dowiadujemy (Chmiel, Domy krakowskie, ulica Grodzka, część II, str. 44).

Zdaje się, że będziemy się musieli zadowolić tego rodzaju wyjaśnieniami i zrezygnować z bardziej wyczerpujących. Dla mnie jako dla „praktyka” wszelkie wyjaśnienia dodatkowe mogłyby być dość obojętne. Pomimo całego mojego „romantyzmu” napewno nie zaprojektuję w domu czynszowym ani też w elemencie współdzielczego szeregu domów zbiorowych sieni o szerokości 5-metrowej.

Rozpisałem się więc znowu o sieniach i schodach. Ale to już wina p. Piotrowskiego, który wyłącznie prawie sieniom i schodom poświęcił swoją recenzję, pomijając milczeniem inne poruszone przeze mnie zagadnienia, które przedewszystkiem sprawiają, że moja praca jednak wychodzi, i to bardzo daleko, poza „obrazowo-opisowe metody przedstawiania tworów architektonicznych”.

P. Piotrowski pomija mianowicie zupełnie ustępy, w których mówię o wewnętrznych zgóry oświetlonych schodach w związku z całością głębokiego rzutu, jako o dyspozycji pozwalającej racjonalnie wyzyskać ciemne inaczej jego wnętrze, i o głębokości rzutu w związku z całością parceli i bloku, jako o dyspozycji, dającej możliwość uzyskania w oszczędnym sposób większych

rozstępów między domami, łagodniejszych kątów padania światła i co za tem idzie lepszego naświetlania okien izb mieszkalnych.

Czyby to były zagadnienia... zbyt trudne?!

Nie, nie są to zagadnienia specjalnie trudne ale bądźco bądź wymagają one pewnego skupienia i nieco uciążliwej analizy.

Dlatego te zagadnienia, pomimo ich pierwszorzędnej doniosłości, mają, i to nietylko u nas, tak nieproporcjonalnie skąpą literaturę i dlatego poruszanie tych spraw nie „historycznych“, i nie „artystycznych“ wzbudza niechęć i dyskusja nad nimi wsiąka w piasek, choć bez ich gruntownego rozważenia niepodobna mieć jakiegokolwiek orientacji w sprawie wyboru racjonalnych wymiarów choćby tylko wysokości, o czem czyta się wciąż tyle „rewelacyjnych“ efekciarskich bredni.

„Stopień wyzyskania parceli nie jest równoznaczny z ilością metrów kwadratowych zajętych pod budowlę“ pisze p. Piotrowski.

Ależ oczywiście! I ja czegoś podobnego nigdzie nie twierdzę. Jest on równoznaczny (w zbiorowem budownictwie mieszkaniowem bez użytkowych i dochodowych ogrodów) dopiero ze stosunkiem sumy powierzchni użytkowej wszystkich pieter do powierzchni terenu budowlanego. (Grundaunsützungsziffer np. w nowych... berlińskich przepisach budowlanych...) Tak właśnie ja to ujmuję i tak to jest ujmowane w tych bardzo nielicznych (i zagranicznych) pracach, które tych zagadnień próbują dotykać, w sposób zresztą znacznie bardziej rudymenatarny, niż ja to zrobiłem w mojej pracy i w szeregu poprzedzających ją artykułów (Dom Osiedle Mieszkanie, luty 1930. wrzesień 1930, Architekt 1929 zesz. 5, 1930 zesz. 8, 9—10 i w. i.).

Co się tyczy nasłonecznienia ścian zewnętrznych (i okien izb mieszkalnych), to trudno mi jednak nie uważać go za główny i podstawowy warunek dobrego naświetlenia także i wnętrza. Wobec niego schodzi na plan dalszy nawet taka „zmienna“ czy też „niewiadoma“, jak głębokość pokoju. Pokój głębokości sześć, a choćby i siedmiometrowej, z którego widać przez okno niebo, będzie w każdym razie na pewno oświetlony lepiej, weselszy i zdrowszy, niż pokój głębokości choćby tylko 4-metrowej, z którego przez okno widać tylko przeciwny mur. A więc położenie przeze mnie głównego nacisku na rozstępy domów, ich wysokości i kąty padania światła nie jest żadną nieusprawiedliwioną dowolnością, ale tylko położeniem głównego nacisku na to, co jest rzeczywiście i niewątpliwie najważniejsze, i to najważniejsze taksamo dla domu zbiorowego jak dla jednorodzinne. Temi „zmiennymi“ „niewiadomymi“ argumentował już p. Kostanecki w życzliwej zresztą dla mnie ocenie w „Domu Osiedlu Mieszkanu“. Teraz tę matematyczną przenośnię znajduję znów u p. Piotrowskiego. Otóż pouczenie w tym względzie byłoby usprawiedliwione, gdyby nie to, że ja wszystkie „zmiennie“, „niewiadome“ i wogóle wchodzące tu w grę „czynniki“, a nawet granice, w których obrębie one zachowują ważność, stale mam w pamięci i uwzględniam z nadmierną aż może skrupulatnością.

Nie są one zresztą wcale tak bardzo liczne, jakby się mogło zdawać, i wszystkie je musi mieć w pamięci zawsze każdy projektujący, o ile oczywiście coś przy projektowaniu myśli, a nie różnie napamięć z gotowego wzoru. Ponadto część tych zmiennych

jest zawsze d a n a, co pozwala na ustawianie w każdym wypadku wystarczającej ilości „równań“, nawet nie w przenośni, choćby takich, jakie ja stawiam na rys. 44, I i II, i uzyskiwanie na ich podstawie całkiem uchwytnych i pozytywnych wskazówek.

W tem miejscu natykam się na kategorię zarzutów szczególnie niecierpliwiących, bo powtarzają się one we wszystkich recenzjach i rozmowach, a są całkowicie niesłuszne, i zrozumieć trudno skąd się biorą. Odpieranie takich zarzutów po raz nie wiem który zaczyna się ukońcu stawać żenującem, a jednak nie można ich przyjąć milczeniem i przyznać im tem samem rację.

Chodzi mi przede wszystkim o stały zarzut, że wewnętrzne pomieszczenia w rzucie trzytraktowym (jakiego szkicowy przykład podaję na rys. 45 b), są ciemne. Jakież to pomieszczenia? Czy może jakieś obszerne przestrzenie wewnętrzne, niezdatne do żadnego użytku, stanowiące znaczny procent powierzchni mieszkań i obniżające ich wartość użytkową? Nie. To tylko przedpokoje normalnej wielkości, normalne łazienki, klozety i pasażyki kuchenne. Ależ te przestrzenie komunikacyjne i pomocnicze są umieszczane wewnątrz mieszkań i oświetlane pośrednio i sztucznie we wszystkich dziś budowanych domach z bardzo tylko niewielu wyjątkami. Nawet galerjowe domy zbiorowe o głębokości poniżej 10 m miewają normalnie łazienki wewnętrzne i oświetlane sztucznie. Nie można więc dyskwalifikować rzutu głębokiego za dyspozycję przyjmowaną bez protestu w rzutach płytkich. Wprowadzenie łazienki do wnętrza mieszkania, nie mówiąc już o przedpokoju, nie jest żadną moją innowacją. Jest to naturalna konsekwencja wydoskonalenia instalacji i urządzeń technicznych, które na to pozwalają. Wciągając do wnętrza rzutu także i klatkę schodową i zwiększając przez to jego głębokość, nie tylko aktualizuję dawne dobre rozwiązanie, ale przede wszystkim wyciągam (jak w Szwecji i Ameryce) pełne konsekwencje z nowoczesnego udoskonalenia instalacji, uzyskując przez to korzyści rzeczywiste przy niedogodnościach tylko pozornych i nieostających się wobec niego tylko sumienniejszego, nieuprzedzonego rozpatrzenia.

P. Piotrowski twierdzi, że klatka schodowa z górnem światłem będzie przy czterech kondygnacjach „napewno conajmniej mroczna“. W podobnej sprawie rozumowaniem przekonywać się trudno. Rozstrzygający może być tylko konkretny przykład, właśnie z licznych znanych mi przykładów, starych i nowych wiem, że schody oświetlone w ten sposób mogą być i bywają całkiem dostatecznie jasne. Jasna jest np. aż do samego dna w poziomie podłogi pierwszego piętra klatka schodowa projektowanego przeze mnie trzypiętrowego domu w Krakowie na ul. Sienkiewicza L. 3a²). Gdyby ją p. Piotrowski mógł zobaczyć, przekonałby się naocznie, że odcięcie stropem kondygnacji najniższej znakomicie polepsza proporcje klatki schodowej i wygląd tak jej wnętrza, jak i wnętrza sieni, niezależnie od tego, jakie były rzeczywiste pierwotne przyczyny wykształcenia się tej charakterystycznej dyspozycji³).

Jakież są wreszcie te „poważne zastrzeżenia“, jakie ma budzić w podanym przeze mnie szkicu oświetlenie kuchni i pokoju służbowego. Wobec tego, że oba te pomieszczenia są u mnie oświetlone

oknami bezpośrednio ze dworu, zastrzeżenia odnoszą się chyba do balkoników przed temi oknami. Ależ te balkoniki nie są żadną konsekwencją przyjęcia układu głębszego! Balkony przed kuchniami daje się normalnie we wszystkich rzutach płtykich. Możliwy ich nie dawać w rzucie głębokim, tylko że z różnych względów są zazwyczaj potrzebne, a trudno doprawdy twierdzić, żeby balkonik metrowej szerokości przed oknem kuchni 5-metrowej głębokości wypuszczonem na obszerne podwórze upośledzał jej naświetlenie w sposób niedopuszczalny.

Jeśli p. Piotrowski, bezwzględnie negując racjonalność aktualizacji rzutu głębokiego, ma przeciw niemu takie tylko argumenty, to doprawdy mogą sobie nie brać do serca tego, co mówi na końcu recenzji o słabości mojej książki „w sensie osiągnięć pozytywnych”.

Uważam, że i te osiągnięcia pozytywne i ujęcia teoretyczne, które mnie do nich doprowadziły, stoją nadal mocno i zasługują najzupełniej na to, żeby się z nimi zapoznano, żeby je rozważano i żeby z nich wyciągano konsekwencje praktyczne.

Króciutki czwarty rozdział mojej książki zawiera in nuce całą teorię bloku wielomieszkaniowego, tak w ujęciach najogólniejszych („o komasującym” działaniu przekrojów głębokich), jak w przeliczeniach i frapujących zestawieniach graficznych. Wymaga ona conajwyżej rozbudowania i uzupełnienia. Czyż ją będę rozbudowywał sam jeden dla nieistniejącej narazie publiczności?

Przypuśćmy jednak (*posito sed non concessio*), że takie spekulacje są zbyteczne i nikomu naniec niepotrzebne, że jedynym dozwolonym sposobem rozpatrywania materiału „historycznego” jest opis i poszukiwanie przypuszczalnych „filjacji”, z pozostawieniem na boku pamięci o jakichkolwiek dzisiejszych praktycznych zagadnieniach.

Otóż i w takim razie faktem pozostaje, że z całej dotychczasowej literatury architektonicznej, począwszy od ks. Sierakowskiego, a skończywszy na urbanistycy prof. Tołwińskiego, o układzie dawnego bloku i rzutu dawnej kamienicy mieszczańskiej nie dowiadujemy się niczego. Nie znajdziemy tam albo dosłownie niczego, i to niekiedy tam, gdzie sądząc z tytułu należałoby się czegoś spodziewać (Czesław Thulie: Jak wyglądały domy w miastach dawnej Polski), albo wiadomości ułamkowe, mętne, nieraz całkiem opaczne, zdumiewające niesumiennością obserwacji, czy też jej nieprawdopodobną nieudolnością, albo wreszcie informacje trafne i słuszne (Chmiel, Tomkowicz), ale uczynione tak mimochodem, tak utopione w masie materiału prawniczego, gospodarczego i obyczajowego, że wynaleźć je na wielu stronicach wielu tomów i stwierdzić ich trafność zdoła tylko człowiek, specjalnie się temi sprawami zajmujący i znający je już i tak z własnej bezpośredniej obserwacji, a więc na 30 milionów mieszkańców Polski zdaje się, że ja jeden... i może jeszcze kilku ludzi, którzy jednak nie dali dotychczas znaku życia.

Natomiast cały wybór materiału rysunkowego, potrzebnego do zrozumienia rzeczy wraz z potrzebnymi informacjami historycznymi znajdzie każdy odrazu i bez żadnego trudu na kilkudziesięciu stronach mojej niewielkiej książeczki, i jeśli nawet stwierdzi jakieś niejasności i luki, to w każdym razie luki minimalne i całkiem

drugorzędne w obrazie przedtem wogóle wcale nieistniejącym.

Uważam, że to przynajmniej mógł mój recenzent stwierdzić bez obawy, że się skompromituje zbytnią pochwałą pracy bezwar- tościowej.

P R Z Y P I S Y.

1) Wprawdzie bowiem o trzytraktówce ja tylko pisywałem, ale nie ja jeden spostrzegłem się na jej zaletach praktycznych. W Krakowie domy trzytraktowe budowane są dziś coraz częściej. Gdy zaś ograniczono swobodę budowania oficyn w dzielnicach przyłączonych, w zamian za to zwiększono dozwoloną głębokość domów frontowych w blokach zabudowanych obrzeżnie, najpierw do 15-u potem do 16–17 metrów, co układ trzytraktowy już wprost narzuca. Otóż wprawdzie znam wielu architektów z budownictwa miejskiego i o zaletach trzytraktówki nieraz z nimi rozmawiam, ale jednak nie mogę tego przypisać mojemu osobistemu wpły- wowi. Mogę w tem raczej widzieć znacznie dla mnie cenniejsze poparcie własnych moich poglądów także i cudzem doświadczeniem.

Gdy byłem w Sztokholmie na Wystawie budowlanej w r. 1930, oglądałem tam z niemałą uciechą pierwszy szereg domów trzytraktowych, który tam wówczas wystawił architekt Sven Markelius, jako eksperyment, wbrew ustawie, żądającej boczego oświetlenia schodów na każdym piętrze, i pomimo braku na miejscu dawnych przykładów tej dyspozycji rzutu. Od tego czasu widzę z obu sztokholm- skich pism architektonicznych, że układ trzytraktowy dla nowo wznoszonych bloków współdzielczych stał się tam bardzo powszechny. Też chyba nie naskutek jednego mojego artykułu w organie szwedzkiego stowarzyszenia architektów. (H. Jasiński: Djupa eller grunda hyreshus? Byggnästaren. Nr. 23. 1931).

Wreszcie napewno nie pod moim wpływem i nie z chęci aktualizowania roz- wiązań archaicznych w Warszawie grupa „Praesens” zaprojektowała znane domy robotnicze na Rakowcu jako domy głębokie układu pięciotraktowego.

Ujęcie teoretyczne tego tematu z równoczesnem uwzględnieniem tak mater- jału historycznego jak i dzisiejszych zagadnień praktycznych jest więc najniewątpli- wiej i najzupełniej usprawiedliwione i jeśli o to chodzi jak najbardziej aktualne.

2) W tym wypadku umieszczenia schodów wewnątrz domu i dania im światła z góry zażądała klientka, osoba nie zajmująca się specjalnie architekturą i nic nie wiedząca o moich specjalnych upodobaniach. Chodziło jej o wyzyskanie tylnej fasady, zwróconej ku wschodowi i o wypuszczenie, oprócz kuchni, dwóch sypial- nych pokoi na obszerne wspólne ogrodowe podwórze. Wobec małej rozporządzał- nej głębokości tylko 15 m. na tylnej linii regulacyjnej byłem na tyle sumienny, że sporządziłem kontrprojekt dwutraktowy z klatką schodową zwykłą dwubiegową oświetloną z boku. Projekt trzytraktowy okazał się uderzająco lepszy, dawał, przy łazienkach w obu wypadkach tak samo wewnętrznych i „ciem- nych” płytsze i foremniejsze pokoje, no i z każdego z obu mieszkań po jednym pokoju wschodnim.

3) Może się zresztą o tem przekonać także i na miejscu w Warszawie, choćby na najbardziej znanym przykładzie sieni i klatki schodowej w kamienicy Baryczków na Starem Mieście.

K R O N I K A

KRAKÓW. KOMISJA HISTORJI SZTUKI P. A. U. Na posiedzeniu Komisji Historji Sztuki, które odbyło się dn. 13 VI. b. r. pod przewodnictwem prof. Juliana Pa-gaczewskiego, prof. dr S. Gąsiorowski przedstawił pracę p. t.: *Kultura ma-terjalna a sztuka wobec systematyki starożytnej kultury materialnej*. Autor łączy rozpatrywanie obu zagadnień wymienionych w tytule, gdyż zdaniem jego, rzucają one nawzajem na siebie światło. Przedstawia więc naprzód materiał śródziem-nomorskiej kultury materialnej starożytności i objaśnia jego obfitość i różnorodność. Stwierdzając, że tak sztuka, jak kultura materialna są materialną realizacją twórczości ludzkiej i że to wyodrębnia je od innych funkcji kultury, dąży autor do systematyki kultury materialnej w znaczeniu archeologicznym przez analizę pojęć pomocniczych, mianowicie pojęcia t. zw. starożytności, t. zw. realjów, przemysłu artystycznego, tech-niki oraz kultury materialnej w znaczeniu etnologicznym. W następnym rozdziale autor opierając się na własnym teoretycznym ujęciu charakterystycznych cech kultury ma-terjalnej i częściowo na etnologicznych sposobach systematyzacji, definiuje ją jako zespół grup celowych działalności (prac) ludzkiej, mających charakter użytkarny, rea-lizujący się w przedmiotach materialnych. Analizuje przeto typy kultury materialnej, ich genezę, rozwój, znaczenie otoczenia przyrodniczego i społecznego, kontekst uczu-ciowy i t. d. Pozwala mu to na próbę systematyki kultury materialnej, a więc na wydzielenie trzech zasadniczych grup pomysłów, czynności rzeczy: 1) działalności ekonomicznej, służącej do utrzymania ochrony życia (rolnictwo i t. d., przemysł i technika, handel i komunikacja), 2) grupę wynikającą z myśli o życiu przyszłym (grób i jego kontekst), 3) grupę związaną z odprężeniem uczuć, odpoczynkiem ciała i t. d., wogóle wzmocnieniem intensywności życia (przedmioty służące do zabawy i t. d.). Sys-tematyka ta prowadzi do zmodyfikowania podanej definicji kultury materialnej na obszerniejszą: do kultury materialnej należą wszystkie te czynności i obiekty będące ich rezultatem, w których wogóle istnieje moment użytkowy. — W ostatnim rozdziale autor porównuje sztukę z kulturą materialną. Kładzie nacisk na znaczenie indywiduum przy powstaniu wynalazku, lecz także na różnicę między intelektualną i celową inwencją w zakresie kultury materialnej, a intelektualno-uczuciową koncepcją arty-styczną. Porównywa następnie sprawy rozwojowe w obu tych sprawach twórczości, dowodząc braku paralelizmu między nimi, omawia różnice między formą-konstrukcją przedmiotów kultury materialnej, a formą-idealną budową dzieł sztuki, ustala różnice w funkcjach obu działów oraz różnice, względnie podobieństwa w przeżyciach, wy-wołanych przez nie. W końcu autor określa przenikanie estetycznej formy działalności ludzkiej (sztuka) do kultury materialnej, twierdząc, że każdy utwór ostatni posiada estetyczną potencjalność, gdy utwór artystyczny ex definitione nie może być użytkarny. Wobec tego niektóre utwory materialne człowieka winny być zaliczone do «sztuk okolicznościowych», lecz granica ich zakresu jest płynna. Autor odrzuca przeto po-jęcie przemysłu artystycznego jako sztywnie. W końcu wyprowadza wnioski metodo-logiczne, z których najważniejszy określa różnicę między badaniem ergologicznym (nauki o kulturze materialnej) a badaniem sztuki.

KOPIEC KRAKUSA. Prace nad rozkopaniem kopca Krakusa posuwają się ciągle naprzód. Obecnie roboty prowadzone są wewnątrz leja, już tylko 4 metry od pod-stawy kopca. Jest wszelka nadzieja, że w listopadzie b. r. osiągnięta zostanie pod-stawa kopca.

KOŚCIOŁEK ŚW. WOJCIECHA został już ostatecznie odkopany, przyczem wy-szło na jaw kilka interesujących, choć drobnych szczegółów dla najstarszej topografii Krakowa. Restauracja kościołka poszła przedewszystkiem w kierunku uwidocznienia dawnych murów romańskich.

K. E.

WARSZAWA. BUDOWA MUZEUM NARODOWEGO. W ostatnich miesiącach budowa nowego gmachu Muzeum Narodowego posunęła się znacznie naprzód. Roboty prowadzone są równocześnie około trzech skrzydeł środkowych, w których mieścić się będzie hall, główna klatka schodowa, sala odczytowa oraz galerja malarstwa polskiego i obcego, gliptoteka, dział Starej Warszawy i sale wystaw czasowych. Ostatnie dwa oddziały znajdą częściowo pomieszczenie w wykończonych już skrzydłach. Do 1 lutego 1936 r. cały gmach wykonany będzie w surowym stanie i pokryty dachem. Dalsze roboty, jak założenie instalacyj, wykończenie wnętrza oraz oblicowanie całego gmachu piaskowcem, rozpoczęte będą w roku przyszłym, a tempo ich uzależnione będzie od dopływu funduszy. Można jednak mieć nadzieję, że centralizacja wszystkich zbiorów Muzeum Narodowego nastąpi w ciągu r. 1937.

GALERJA POPŁAWSKICH. Zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie powiększone zostały w sposób wydatny przez zakupienie przez Zarząd Miejski m. st. Warszawy znacznej kolekcji obrazów od dra Jana i Olgi Popławskich. Ś. p. dr Jan Popławski, ur. w Czycie na Syberji, ukończył akademię medycyny wojennej, poczem osiedlił się w Petersburgu. W mieście tem powstały znane w szerszych kołach miłośników i historyków sztuki zbiory, będące owocem Jego wieloletniej pracy, wysiłków oraz zamięłowań artystycznych i kolekcjonerskich. Ocalone z zawieruchy rewolucyjnej, zbiory zostały rewindykowane do Polski. W kwietniu b. r. Zarząd Miejski zakupił część tych zbiorów, składającą się z 95 obrazów szkoły niemieckiej, francuskiej, włoskiej, flamandzkiej i holenderskiej i kolekcję tę ofiarował Muzeum Narodowemu w Warszawie. Ponadto dr Jan i Olga Popławscy złożyli w darze dla Muzeum dalszych 8 obrazów, przeznaczonych do dekoracji wnętrza. W ten sposób zbiory muzealne powiększone zostały o pokaźną ilość 103 płócien. W kolekcji tej wyróżnia się szereg obrazów, jak np. portret staruszki malowany na drzewie (szk. włoska?, w. XVI), portret mężczyzny w zbroi, przyp. Jacopo Robusti zw. Tintoretto, portret mężczyzny w peruce (szk. Franc. XVII w. — Rigaud?), 2 obrazy realistów francuskich XVII w. i t. d. Najlichniej reprezentowane jest malarstwo flamandzkie i holenderskie. Wśród tej grupy obrazów wymienić należy w pierwszym rzędzie św. Rodzinę, przyp. Gerardowi Davidowi, dalej Kazanie św. Jana (w. XVI), Chrystus na krzyżu, przyp. Frans Frankenowi (1581-1642), Chrystus upadający pod krzyżem, (warsztat Rubensa?), Portret kobiety, przyp. Frans Pourbussowi st. (1545-91), oraz sygnowane obrazy D. Teniersa (Wieśniak), Jana Victorsa (scena przed karczmą), Jana van Hemersena (św. Rodzina—sygn. mongr. i datowany 1541), Egberta van der Poela (Pożar—sygn. i datowany 1648), Aerta van der Neera (Krajobraz księżycowy) i Petra Neefa (Wnętrze kościoła). — Zbiory te są obecnie przez Dyрекcję Muzeum porządkowane i katalogowane, poczem nastąpi otwarcie ich dla publiczności.

ODBUDOWA ZAMKU WARSZAWSKIEGO. Zgodnie z przeznaczeniem zamku królewskiego, jako siedziby Prezydenta Rzeczypospolitej i podziałem zabudowań na użytkowe i zabytkowe, ustalony został program robót konserwatorskich. W ogólnych zarysach przewiduje on przebudowę i dostosowanie do potrzeb reprezentacyjnych skrzydeł północnego, zachodniego (od pl. Zamkowego) i południowego (od N. Zjazdu) oraz restaurację i rekonstrukcję skrzydła wschodniego (od str. Wisły). Trzy skrzydła, przeznaczone na siedzibę Prezydenta, składają się z małemi wyjątkami z wnętrza, pozbawionych charakteru zabytkowego i dlatego otrzymają bardziej współczesne wykończenie. Nieliczne fragmenty zabytkowe zostaną jednak i tutaj zachowane. — W chwili obecnej cały parter został w 75 % wykończony. Mianowicie wykonane zostały wszystkie części konstrukcyjne. Najstarszej części zamku, o gotyckich murach zewnętrznych, przywrócono dawny, renesansowy układ, pochodzący z przebudowy w XVI w. W tym celu usunięte zostały ściany działowe z okresu Sasów i Stanisława Augusta. Ponieważ równocześnie układ tk. zw. Pokojów Królewskich na I p.

musiał być utrzymany, powstało szereg konstrukcyjnych problemów i trudności, które zostały przezwyciężone. — Całe to wschodnie skrzydło z parterowymi salami o trzech, dwóch i jednym słupie i królewskimi pokojami na I p. przeznaczone jest dla publiczności i mieścić ma w przyszłości w salach przyziemia Państwowe Zbiory Sztuki. — Parter skrzydła północnego odrestaurowany został definitywnie i zawiera wejściowy hall rautowy oraz schody do apartamentów reprezentacyjnych. Skrzydło zachodnie (od pl. Zamkowego), o sklepionych komnatach z epoki Zygmunta III, zostało również całkowicie odrestaurowane i wykończono; znalazła w nim pomieszczenie warta zamkowa i żandarmerja oraz ubikacje użytkowe (kuchnia i t. d.). Skrzydło południowe (od N. Zjazdu) znajduje się obecnie w toku restauracji z przeznaczaniem na lokal Kancelarii Wojskowej. W jednej z komnat tego skrzydła, pod polichromją z czasów Stanisława Augusta, odkryta została polichromja barokowa z końca XVII w. Jest ona obecnie w trakcie odnawiania. Górna warstwa malowideł, wobec niemożności zakonserwowania, została usunięta po uprzednim zinventaryzowaniu. — Na I p. odnowiona została sala Audjencjonalna, Sypialnia królewska, która otrzymała nowe obicie adamaszkowe, oraz Garderoba królewska, która odrestaurowana została wg nowych projektów. Pozatem wykończono definitywnie w skrzydle północnem Salę Batorego i galerję od podwórza. Całkowicie odrestaurowana została również wieża Władysława IV. — Roboty na II p., pozbawionem wewnątrz zabytkowych, zostały wykonane w 60 %. Mieścić się tam będą pokoje gościnne, mieszkanie Prezydenta i lokal Kancelarii Cywilnej. — Nazewnątrż otrzymał zamek jednolite elewacje, utrzymane w charakterze późno-renesansowym. Rozmieszczenie otworów okiennych w elewacji od pl. Zamkowego zostało ściśle odtworzone. Barokowa elewacja od str. Wisły pozostała na razie nietknięta. Największa zmiana w wyglądzie zewnętrznym zamku dotyczy jej elewacji południowej (od N. Zjazdu), gdzie ze względu na całość fasady zburzona została przybudówka, zw. Regencją. Mury tej przybudówki posiadały wprawdzie wątki Saskie, były to jednak drobne ślady tylko, ginące wśród murów rosyjskich. Wykończone zostały również elewacje od str. dziedzińca głównego, przyczem każda ze ścian czworoboku zachowała swój wygląd pierwotny. W elewacji gotyckiej utrzymane zostały dawne, renesansowe okna. — Program prac na najbliższą przyszłość obejmuje nadbudowę i zaprojektowanie nowego zwieńczenia dla wieży Grodzkiej, restaurację fasady od str. Wisły, odnowienie zewnętrzne Pałacu pod Blachą, przy równoczesnem zburzeniu I p. lewej oficyny, dla zrównania wysokości obu skrzydeł bocznych. Wewnątrz prowadzone będą prace nad dekoracją Sali Bankietowej, Kaplicy Saskiej, d. Sali Rady oraz Sali Sejmowej wraz z pokojami Podkomorzego. W dalszej przyszłości program przewiduje rozwiązanie skrzydła, idącego w kierunku Kanonii, jako rozwinięcie apartamentów reprezentacyjnych, oraz przedłużenie ogrodu zamkowego do bulwarów nad Wisłą, budowę schodów z sali Assamblowej na taras i rozwiązanie samego tarasu.

RESTAURACJA PAŁACU BLANKA. Po przeniesieniu Komendy Policji P. do nowego lokalu, Zarząd Miasta przystąpił do gruntownej restauracji pałacu, przeznaczając go na mieszkanie dla Prezydenta Miasta, pokoje reprezentacyjne i biura. Większe zmiany w wyglądzie zewnętrznym pałacu polegają na zburzeniu późniejszych przybudówek od str. placu, które zasłaniały elewację gł., oraz obniżeniu bramy. Równocześnie przesuwają się okna na właściwe miejsca. Nachylenie dachów i pokrycie dachówką pozostaje; część dachu, która przed kilku laty pokryta została blachą, otrzymuje dachówkę z powrotem. Zburzone zostaną kominy, wobec przeprowadzenia centralnego ogrzewania. W skrzydle bocznem robi się arkadowy przejazd z podwórza pałacowego do dziedzińca w d. zabudowaniach Magistratu. Prace wewnętrzne polegają na restauracji nielicznych zabytkowych kominków, sztukaterji i t. d. i odnowieniu całego wnętrza.

W. K.

Bulletin d'Histoire de l'Art et de Culture.
Revue Trimestrielle Publiée par l'Institut de l'Architecture Polonaise
et de l'Histoire de l'Art de l'École Polytechnique à Warszawa.

Septembre 1935

Vol. 4. No 1.

S o m m a i r e

F. Piaścik—Les collections de la Section d'Architecture rurale de l'Institut	p. 1
II. W. Rieszkowski—Le château de Łobzów	„ 6
J. Chyczewski—Polychromie du XVI-e s. de la chapelle sépulcrale de l'évêque André Noskowski à Pultusk	„ 26
P. Biegański — Antoine Corazzi à l'Académie des Beaux Arts de Florence	„ 35
B. Marconi — Les travaux de conservation du tableau "La Madone et l'Enfant avec le donateur" et l'emploi des rayons X	„ 44
H. Jasiński — Notes sur les origines et le développement du plan de la maison patricienne (à propos de l'article critique de M. R. Piotrowski dans le n-o 1 du vol. III du Bulletin)	„ 51
Chronique	„ 62

COMITE DE RÉDACTION: MM. Oskar Sosnowski, Witold Kieszkowski, Franciszek Piaścik, Juljusz Starzyński, Michał Walicki, Jan Zachwatowicz.

RÉDACTEUR: Witold Kieszkowski.

CORRESPONDANTS PERMANENTS: Szczęśny Dettloff (Poznań), Tadeusz Dobrowolski (Katowice), Józef Dutkiewicz (Łuck), Karol Estreicher (Kraków), Zbigniew Hornung (Lwów), Stanisław Lorentz (Wilno) Ksawery Piwocki (Lublin).

Rédaction et Administration: Warszawa, 55, rue Koszykowa.
Abonnement: Pologne — un an 8 Zł., 6 mois 4 Zł.; Union Postale — un an 10 Zł., 6 mois 5 Zł.

Prix du no 1 (vol. 4): Pologne — 3 Zł., Union Postale — 4 Zł.

BIULETYN

HISTORJI SZTUKI I KULTURY.

Kwartalnik wydawany przez Zakład Architektury Polskiej i Historji Sztuki Politechniki Warszawskiej. Ukazuje się 4 razy w ciągu roku w miesiącach wrześniu, grudniu, marcu i czerwcu.

ROCZNIK I. Str. 260 + XXII + 18 tablic (zeszyt 1-y wyczerpany).

ROCZNIK II. Str. 324. + XXXVIII + 47 tablic.

ROCZNIK III. Str. 398 + XXXV. z licznymi ilustracjami w tekście.

Do nabycia w Administracji Biuletynu — Warszawa, Koszykowa 55

Cena Rocznika — 8 Zł.

WILANÓW

J. STARZYŃSKI: Wilanów. Dzieje budowy pałacu za Jana III. Warszawa 1933. Str. 104 i 57 ilustracji w tekście.

(Studja do dziejów sztuki w Polsce), t. V (Varsoviana 2). Skład główny w Kasie im. Mianowskiego w Warszawie.

Cena Zł. 8.

WIT STOSZ

Ks. S. DETTLOFF: U źródeł sztuki Wita Stosza (Biblioteka Zakładu Architektury Polskiej, t. IV).

Cena Zł. 6.

CENY WYDAWNICTW

Zakładu Architektury Polskiej i Historji Sztuki Politechniki Warszawskiej z lat poprzednich uległy

40% niższe

SKŁAD GŁÓWNY W KASIE IM. MIANOWSKIEGO W WARSZAWIE